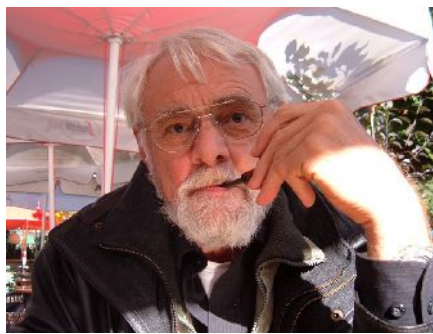


Zamyślenia



Fot. Andrzej Dębowski

Licha ściana marzeń

Często okazuje się, że nasze marzenia stają się najkosztowniejszymi ze złudzeń i to w sposób okrutny. W ogóle wszystkie marzenia to pewnego rodzaju twórczość obrazkowa, gdzie smak życia objawia nam się w momentach nieprzewidywanych. Pani Urszula Fabrowicz lecąc samolotem do Nowego Jorku, gdzie oczekiwał na nią mąż stęskniony długą rozłąką, wyobrażała sobie to ich spotkanie wprost w tęczy kolorach. Oto w myślach widziała już wielkie, błyszczące „cabrio” czekające na nią na parkingu lotniska, nade wszystko zaś widziała ich amerykański dom z prowadzącą do niego żwirową alejką, ocienioną egzotycznymi krzewami, szerokie, liliowe schody, wielkie drzwi szeroko otwarte na jej powitanie. Cóż, każdy musi osobiście sprawdzić realność własnych marzeń i dobrze jest, kiedy łączy się je umiejętnie z odrobiną realności, czego ona niestety nie potrafiła. Dziś, po wielu latach śmieje się z samej siebie, mówiąc z odrobiną kpiny w głosie: „nie ma tego dobrego, co by na złe nie wyszło”. Jej dobry znajomy z „Gazety Żywieckiej”, autor zresztą kilku uroczych książeczek pisanych gwarą żywieckich górali – Władek Bułka-Michałcyn, jakby do niej właśnie kierował swoje powiedzenia w gwarze góralskiej: „Ni ma złego, co by na dobre nie wyszło”. I dalej: „Nie kwol słońca przed zachodem. Spiechoj się pomału, a cudny kraj kwol, a do swego uciekaj”...

To mąż dokonał za nią nieznanego wyboru i w listach lub też w rozmowach telefonicznych, nigdy nie roztrzącał przed nią świetlanych obrazów w przeciwieństwie może do innych mężów, których doskonałość w tej mierze, a więc w kłamstwie, mogła wprost imponować. W ogóle emigracje to eksperyment o nieujawnionym do końca rezultacie, lecz do takiego wniosku dochodzi się dopiero po latach. Czy rozczarowała się, widząc stary gruchot, którym przyjechał po nią mąż? Nie. Natychmiast usprawiedliwiła ten fakt przed sobą samą i nawet roześmiała się wtedy na cały głos. Niepewność podnieca. Pozostał jej przecież jeszcze ten wymarzony dom, jego wyniosła fasada, schody, alejka ocieniona krzewami i to dało wówczas jej myślom autentyczne zajęcie.

Mówiła całą drogę od lotniska, paplała i nie było to wcale godne uwagi, a on słuchał. Twarz miał bladą, wymizerowaną, jak to mąż na długim, samotnym „popasie”. Czy w ogóle mężowie po tylu latach małżeństwa mogą istnieć gdzieś bez nas, kobiet?

Jechali autostradą i świat wyglądał zupełnie inaczej z każdym przejechanym kilometrem. On mówił: z każdą milą. I już ten fakt powinien wprowadzić ją na powrót w świat jej marzeń. Człowiek powinien nauczyć się sztuki lepszego kreowania swoimi marzeniami, w szczególności zaś nauczyć się kierowania własnych myśli w kierunku bardziej łatwym do przewidzenia. Jednego była pewna, że w odniesieniu do ludzkich marzeń – czas zmarnowany nie istnieje. Wiedziała, że w Nowym Jorku jest spora grupa Polaków zamieszkujących ongiś Beskid Żywiecki, a więc jechała jakby do swoich. Przypomniał jej się jeden z dowcipów Władka Bułki z książeczki zatytułowanej „Bójki starego bacy”: „Wojtek Mikosek, widzialny gazda dostał list z Hameryki łód swojego brata Jónka. Napisał mu, że zanimóg, jest strasecznie chory, że łoślyp, nie widzi na łocy. Łon to rajił imi, zeby sprzedał cały mająntek jaki mo i pojochoł do Hnmeryki, gdzie bydzie się nim opiekowoł i ze jim razem bydzie fajnie. Prowie ze się zdecydowoł, ze pojidzio. Poseł więc na milicyjom do tego pana łód paśportów ji godo mu po co przyseł. Kapiton, tyn łód paśportów go wysłuchoł ji tak mu raji: Słuchecie gazdo, dyć wos znom, skodn wos cobyście tam jechali. Nojlepij mu napiście, zeby mająntek sprzedoł i łun do was psijechoł. Państwo na tym zysko ji wy tyz, te dulary zostanom u nos. No niby dobrze, pan kapiton mi rajom, godo gazda, ale mój brat nie łogupioł jeno łoślyp...”.

Cóż, zawsze może być jeszcze gorzej niż jest. I tak było. Zajechali przed jakiś wielki, czynszowy dom, którego stan elewacji i w ogóle otoczenie mogły z powodzeniem stanowić atrapę do realizacji jakiegoś filmu o tematyce gangsterskiej. Rusztowanie otaczające jej marzenia w tej chwili właśnie runęło. Wyraźnie słyszała trzask w głowie. Wiedziała coś na temat nieładu świata, ale dotąd myślenie w tym względzie nie było całkowicie i w pełni wyobrażalne. Jakże łatwiej buduje się piękno niż brzydotę we własnych myślach. Schody owszem były, ale wąskie, szare, brudne i straszliwie strome. Na ich szczycie stał jakiś człowieczek o nieokreślonej posturze, jak się później okazało gospodarz. Poprowadził ją w głąb czarnej czeluści zalutującej stęchlizną i gotowaną kapustą. Pomyślała, stawiając ostrożnie kroki, że kłamstwa innych mężów były logiczniejsze niż wszelkie inne prawdy. Z pewnością te ich kłamstwa wynikały ze wątplenia w atrakcyjność prawdy i natychmiast ich rozgrzeszyła. I oczywiście znów wybuchła śmiechem. Jej myśli były krótkie i niejasne, kiedy weszli do ciemnego, długiego jak kiszka pokoju, w którym stało kilkanaście żelaznych pryczy. Czy naprawdę o coś jej chodziło w tych swoich wyobrażeniach? „Cudzy kraj kwol, a do swego uciekaj...”.

Było, minęło. Nie uciekła. Wie jedynie, że nie należy przedwcześnie reklamować swoich marzeń, tych małych również, albowiem

każde z nich może się zmienić w swe przeciwieństwo. Nie załamała też rąk trudną sytuacją męża. Dziś Fabrowiczowie mieszkają we własnym domku Elmout N.Y. razem z synem. Córka, która robiła specjalizację w Niemczech jako lekarz, pozostała już tam na stałe. Twierdzi, że jej matka zbyt długo żyła jedną myślą; wspaniała Ameryka, a bywa to niehigieniczne i czasami tak właśnie się dzieje, że ów zarazek buduje w naszej psychice owe przerysowane i zupełnie nierealistyczne makiety. Tymi sprawami zajmuje się także medycyna. Ale jest to choroba niegroźna i szybko przemija. A prawdę mówiąc i pisząc, całą tę rozmowę z panią Ulą zacząłem zupełnie od czegoś innego. Otóż przebywając w Niemczech na urlopie u córki Barbary w Heiligenhafen, pewnego dnia przegłądnęła stos emigracyjnych, polskojęzycznych czasopism, w tym moje archiwalne numery „Dziennika Polskiego”. Zrodziła się wówczas myśl, aby zainteresować Czytelników „DP” sprawą, która leży kamieniem na jej sercu. Otóż wojenne losy rzuciły ojca pani Urszuli do Anglii. Potem nastąpił czas, kiedy nawet Polski Czerwony Krzyż nie mógł zbyt wiele zdziałać, za sprawą wyrastającej „żelaznej kurtyny”. Takich rozdzielonych rodzin było tysiące, setki tysięcy.

Na początku roku 1979 nadeszła wiadomość z Anglii o śmierci ojca, co miało miejsce 3 kwietnia 1979 roku. Wiadomość przesłała w liście pani Bronisława Szepler zamieszkała w Leeds 8 (23 Airlie Place), której mąż utrzymywał kontakt ze zmarłym Antonim Kalickim. Według treści listu, zmarły przez okres ostatnich 12 lat, „żył i mieszkał z Angielką”. Tyle wynikało z krótkiego listu.

Samotne, opuszczone mogiły są dowodem duchowego ubóstwa społeczeństwa. Zapewne jest ktoś, kto opiekuje się grobem śp. Antoniego Kalickiego w Leeds, a może gdzieś indziej. Ile takich grobów poszukiwanych przez rodziny mieści ta ziemia? Stąd usilna prośba, gdyby ktoś z Czytelników, właśnie za sprawą tego artykułu, wiedział o losach tułających Antoniego Kalickiego, proszony jest o kontakt z „Dziennikiem Polskim”.

Kazimierz Iwosse



Rys. Barbara Medajska